

Łukasz Jurczyszyn: Rysa na macronizmie

Obok proeuropejskość, przeświadczenia o końcu starego świata w macronizm wpisuje się odideologizowanie polityki. Macron twierdzi, że nie jest ani z lewicy, ani z prawicy. Jego apolityczność okazuje się jednak złudna i bezskuteczna – mówi Łukasz Jurczyszyn w rozmowie z Albertem Mazurkiem dla „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Trzy kolory i żółty?”.

Albert Mazurek („Teologia Polityczna): Na ulice Paryża wychodzi kilkaset tysięcy protestujących, głównie z prowincji, wsi i mniejszych miast. To działo się w listopadzie i grudniu, ale dzieje się także teraz. W pewnym sensie nastroje we Francji oddaje mural nawiązujący do słynnego obrazu Delacroix, który powstał w jednej z robotniczych dzielnic stolicy – „Wolność wiodąca żółte kamizelki na barykady”. Czy Macron stracił społeczny słuch, który – jak twierdzą niektórzy – dał mu zwycięstwo w wyborach prezydenckich?

Łukasz Jurczyszyn (PISM): Przede wszystkim stracił grunt pod nogami. W swojej przedwyborczej książce *Rewolucja* trafnie zdiagnozował część bolączek francuskiego społeczeństwa i państwa. Twierdził, że rozumie epokę, w której Francuzi żyją i Europejczycy. Rzeczywiście, dostrzegł pewne elementy kryzysu liberalnej demokracji, przede wszystkim zauważył, że ludzie muszą mieć większy wpływ polityczny na to, co się dzieje w ich państwie. Jego ruch – En Marche! –

korzystając z nowinek technologicznych szybko odnotował ponad 100 tysięcy członków, a po kilku miesiącach – ponad 300 tys. Tymczasem w działalność tradycyjnej partii politycznej angażuje się zaledwie kilkadziesiąt tysięcy osób.

Jednocześnie założył, że ludzie – w obronie oświeceniowego modelu liberalnej demokracji – sprzeciwią się populizmowi, głównie skrajnie prawicowemu. Utwierdził się w tej konstatacji po wygranych wyborach. Mimo, że doszło do kulminacyjnego wzrostu sił populizmu, czego wyrazem jest Brexit, zwycięstwo Trumpa w Stanach Zjednoczonych czy wzmocnienie Le Pen we Francji, Macron założył, że jego wybór świadczy o szansie, która pojawia się dla obrony tego modelu.

Wydaje mi się jednak, że źle odczytał swój sukces wyborczy albo nawet oślepił go, zresztą nie tylko jego, tak duży entuzjazm (w drugiej turze wyborów prezydenckich osiągnął wynik na poziomie 60%, zaś w wyborach parlamentarnych jego ruch polityczny zdobył bezwzględną większość). Nawet, zazwyczaj sceptyczni, profesorowie czy obserwatorzy życia francuskiego, których spotkałem we Francji – widząc skalę sukcesu Macrona – konstatowali, że chyba po raz pierwszy od 40 lat Francuzi są gotowi na reformy. Wracając do diagnoz Macrona, po wyborach założył, że jego główny przeciwnik, czyli skrajnie prawicowy populizm, przegrał, dlatego, że Francuzom bardziej odpowiada zakorzenienie się w porządku europejskim, więc jego główny punkt programu brzmiał: reformować Europę i Francję. Tymczasem poziom eurosceptycyzmu we Francji wynosi około 30-40%.

Poparcie, które otrzymał w wyborach prezydenckich i parlamentarnych, topnieje. Obecnie wnosi około 20%.

Reformy Macrona – liczne, intensywne i bezprecedensowe w porównaniu do ostatnich czterech prezydentów – nie spotykały się ze sprzeciwem. Prezydent otrzymał kredyt zaufania, „cierpliwość społeczną” na wdrażanie reform. Nawet tych bardzo skomplikowanych, jak reforma rynku pracy czy reforma kolejnictwa, francuskiej – „świętej krowy”. Oczywiście, zmiany w kolejnictwie spotkały się ze strajkami i blokadami transportowymi, ale Macronowi wydawało się, że ludzie rozumieją, że firma zadłużona na 50 miliardów euro, nie może kontynuować funkcjonowania. Odczytywał to jako wsparcie, zaś spadające sondaże wpisywał w koszty. Od początku zakładał, że nie będzie bardzo popularnym prezydentem.

Jednak skala protestów pokazuje, że coś pękło – Francuzi, zwłaszcza ci, którzy pochodzą z prowincji czy przedstawiciele biedniejszej klasy średniej, nie rozumieją swojego prezydenta i, jak się zdaje, *vice versa*.

Przede wszystkim uważam, że to Macron nie rozumie swojej epoki. Symptomatyczny jest sposób, w jaki zarządza kryzysem. Na przykład na czele ciała, które jest odpowiedzialne za prowadzenie dialogu społecznego z „żółtymi kamizelkami” zatrudnił panią zarabiającą 15 tys. euro miesięcznie. Tymczasem problem tkwi w niskich zarobkach Francuzów, małej sile roboczej, czy wreszcie deklasacji klasy średniej. Macron nie jest zdolny do właściwej oceny sytuacji, wchodzi w buty tradycyjnej klasy politycznej. Jest obarczony „grzechem pierwotnym” francuskich elit, o którym pisze choćby Chantal Delsol. Jest wyedukowanym i sformatowanym urzędnikiem wysokiego szczebla, przedstawicielem klasy politycznej, która od 30 lat, w związku ze specyfiką rekrutacji i reprodukcji, jest po prostu bardzo homogeniczna.

Mimo, że pochodzi z Amiens, to żyje, jak 5% populacji, jak wysoka klasa średnia, mieszkająca w dzielnicy oddzielnych domów, która wysyła swoje dzieci do osobnych szkół. To powoduje, że nie rozumie wielu problemów tak zwanych zwykłych Francuzów czy ludzi z prowincji. Wpisuje się w stereotyp aroganckich Paryżan, przedstawicieli klasy politycznej czy finansjery. Wielu mieszkańcom prowincji kojarzy się z obrażaniem zwykłych Francuzów. Dochodzi do tego technokratyczna ślepotą – postawienie na sprawność, rozwiązania techniczne, myślenie Excelem bez czynnika ludzkiego.

Macron jest obarczony „grzechem pierworodnym” francuskich elit, o którym pisze choćby Chantal Delsol

On cechuje się swego rodzaju hipokryzją. Sądził, że z logiki kampanii, podczas której wiele obiecywał, by osiągnąć sukces,

łatwo wejdzie w koleiny systemu, który tak krytykował. Tymczasem został obrońcą V Republiki jako reprezentant klasy politycznej, która rządzi Francją. Jednocześnie, z przerysowaniem, próbuje wejść w buty de Gaulla czy Mitteranda. Mówi, że będzie „jowiszowym prezydentem”, że „Francuzi potrzebują króla”. W charakterystyczny sposób mówi o tym, że należy pozostawić władzę technokratom – my mamy wiedzę, kwalifikację, ocenę sytuacji, Francuzi nie muszą włączać się w system, niech nam nie przeszkadzają.

Sprzeniewierzenie się kampanijnymi propozycjom dostrzegają nawet niektórzy działacze En Marche!, którzy nie godzą się na sterowanie ruchem w sposób klasyczny – przez ścisłe grono kierownictwa partii, lekceważąc potencjał powstały w trakcie kampanii wyborczych.

Brakuje przestrzeni do dialogu?

Holland czy poprzedni prezydenci francuscy nie prowadzili dialogu ze społeczeństwem. Macron chciał być inny. Przy flagowej reformie rynku pracy pojawiła się szansa na dialog ze związkami zawodowym, ale została wykorzystana instrumentalnie. Dialog miał być, przede wszystkim, skuteczny. Technokraci mają realizować plan i wdrażać reformy. Ostatecznie – mimo pięciu miesięcy rozmów – postulaty związków zawodowych zostały uwzględnione tylko w niewielkim stopniu. Później nabrał pewności siebie i kolejne reformy wprowadzał arbitralnie, jakby chciał rządzić przez prezydenckie dekrety. Wówczas okazało się, że jest przedstawicielem starego świata.

W niedawnym „Polskim Przeglądzie Dyplomatycznym” nazwałem tę prezydenturę paradoksalną. Z jednej strony wydarzyło się wiele nowego – szereg reform, próba odejścia od modelu państwa opiekuńczego, z drugiej strony Macron jest przedstawicielem starego świata, z wszystkimi tego konsekwencjami, jak właśnie brak zrozumienia dla prowincji, ludzi zupełnie z innego świata.

Dobrze to widać na przykładzie reformy życia moralnego – przeprowadził ją w sposób technokratyczny i instrumentalny. Skoro obiecał moralizację życia publicznego, to przygotował projekt ustawy, wydał z rządu niektórych centrystów (koalicjantów, którzy nawiasem mówiąc, byli współodpowiedzialni za jego sukces), skompromitowanych zatrudnianiem fikcyjnych asystentów. Z rządu odeszli m.in. François Bayrou (minister sprawiedliwości) czy Sylvie Goulard (minister obrony). Ale to nie wystarczyło, ponieważ cały czas

dochodziło do afer i konfliktów w rządzie. Punktem zwrotnym okazała się afery Benalli – ochroniarza Macrona – która pokazała praktyki typowe dla wcześniejszych prezydentów Francji, szczególnie Mitteranda. To godziło w wizerunek Macrona jako managera, ponieważ powierzył poważne stanowisko koledze bez kwalifikacji. To zdjęło z niego tę część tożsamości, którą zaprezentował w czasie kampanii.

W zabawny sposób to oderwanie Macrona od problemów „zwykłych Francuzów” podsumował felietonista brytyjskiego „The Spectator”, który przypisał mu, parafrazując Marię Antoninę, frazę „Let them buy Teslas!”. Przechodząc do samych protestów, chciałbym zapytać o to, co było ich przyczyną. Podwyżka akcyzy na paliwa? Czy możemy sięgnąć jeszcze głębiej?

Z pewnością są przyczyny pośrednie, nad którymi Macron nie mógł zapanować. Model, w którym żyje Francja załamał się w połowie lat 70.; w wyniku problemów strukturalnych, ekonomicznych i społecznych nastąpiło pogorszenia jakości życia, zubożenie klasy średniej. Sarkozy chciał reformować wieczne francuskie państwo opiekuńcze i miał ku temu powody. Jeszcze w 1999 roku dług publiczny wynosił ok. 60% PKB, dziesięć lat później już 80% PKB, dziś ponad 100% PKB.

Pole manewru, które przejął Macron było bardzo niewielkie. Koniunktura międzynarodowa również nie zależała od niego. Jej poprawa wpłynęła na pierwsze sukcesy prezydenta. Pod koniec 2017 roku, po raz pierwszy od 10 lat, Francja zeszła z nadmiernego deficytu budżetowego z 3.5% do 2.8%, dzięki realizacji polityki reform

oszczędnościowych. Lepsza koniunktura pojawiła się także na rynku pracy, bezrobocie spadło z ponad 10% poniżej 9%. Teraz znowu wynosi 10%.

A jeśli chodzi o przyczyny bezpośrednie?

W pewnym nieprzewidywalnym momencie nastąpił koniec cierpliwości, o którą od samego początku o prosił Macron, ostatnio także w przemówieniu noworocznym. Jednocześnie obiecuje, że za rok czy za dwa lata Francuzi na pewno odczują lepszą sytuację materialną. Pozostaje w paradygmacie lat 90., twierdzi, że skoro tylko PKB się poprawi, to polepszy się Francuzom. Ale kto w to dziś naprawdę wierzy? Rząd i technokratyczna klasa polityczna nie rozumie świata prowincji i jej problemów.

Jeden z głównych zarzutów, które podnoszone są przeciwko Macronowi, oprócz zwiększenia akcyz paliwowej, to brak sprawiedliwości podatkowej. Prezydent zniósł podatek dla najbogatszych, darując im w ten sposób 4 miliardy euro, jednocześnie – co było punktem zapalnym – oszczędzając 400 mln euro poprzez likwidację dopłat do wynajmu mieszkań dla najbiedniejszych dla 6,5 mln Francuzów – 5 euro miesięcznie.

Minister gospodarki, spytany przez dziennikarzy o likwidację dopłat, opowiedział lekceważąco: „co to jest 5 euro”. Żyłem we Francji 8 lat, 18 miesięcy w dwóch gettach na przedmieściach badając politykę bezpieczeństwa, poznałem wielu zmarginalizowanych ludzi. Dla

najbiedniejszych – ludzi z przedmieścia – 5 euro to równowartość pełnego obiadu: kebab z frytkami, na który mogą sobie pozwolić dwa razy w miesiącu.

Prezydent pozostaje w paradygmacie lat 90., twierdzi, że skoro tylko PKB się poprawi, to polepszy się Francuzom. Ale kto w to dziś naprawdę wierzy?

Komentowałem ostatnio świetny francuski film pt. *Na wojnie*. Reżyser, Stéphane Brizé, który ewidentnie wyczuł trendy przed protestami „żółtych kamizelek”,

opowiada historię zamykania zakładu pracy, pogwałcenia umowy z inwestorem i delokalizacji. Jest taka scena, gdy po jednej stronie stołu siebie siadają prawnicy, występujący w imieniu pracodawcy, a po drugiej – pracownicy. Przepaść występuje już na poziomie języka, widać, że szczególnie we Francji, społeczeństwo jest niezwykle zhierarchizowane. Prezes odwołuje się do racjonalnych argumentów. Mówi, że zamyka fabrykę, oni, że w tym regionie nie znajdą pracy, na co prezes odpowiada, żeby zmienili region – on zmieniał region za pracą wiele razy. Tymczasem 7 na 10 Francuzów nigdy w życiu nie zmieniło miejsca zamieszkania, to część konserwatywnego zakorzenienia tego społeczeństwa. Powiedzieć: „wyjedź do innego miasta” to naprawdę policzek w twarz.

Otworzył się konflikt, który przez wiele lat był zamknięty. Od 2008 r. pogorszyła się sytuacja ekonomiczna Francuzów, zmalała ich siła nabywcza średnio o 200 euro miesięcznie. To zbiednienie odczuli w portfelach, więc pomyśl, aby wydawać – po podwyżce akcyzy – ok. 300

euro miesięcznie na paliwo jest dla nich nie do zaakceptowania. Dochodzi do tego poczucie niesprawiedliwości, wynikające ze zmian podatkowych, ale także z marginalizacji prowincji.

Protesty „żółtych kamizelek” wiążą się też z brakiem zaufania do tradycyjnych partii politycznych; z badań socjologów wynika, że wiele osób uczestniczących w protestach w ogóle nie głosowało. W ostatnich wyborach prezydenckich i parlamentarnych nie zagłosowało 12 mln Francuzów. Z kolei aż 4 mln oddało nieważny głos. W interesie Marine Le Pen i Jeana-Luca Melenchona jest przekonanie tych ludzi do siebie, ale także do tego, by nie doszło do strukturalizacji ruchu „żółtych kamizelek”.

Nie ufają partiom politycznym i aroganckim Paryżanom, którzy nimi rządzą – czują się „obcymi we własnym kraju”?

Wśród żółtych kamizelek były prowadzone badania – ponad 50% nie widzi sensu płacenia podatków. Ich zdaniem płacą za dużo (Francuzi są jednym z najbardziej opodatkowanych społeczeństw UE – 47% PKB). I jednocześnie narzekają na jakość życia: na transport, na służby medyczne. Przełożenie między wysokością płaconych podatków, a tym, jak działają instytucje republikańskie jest zaskakująco słabe. Co prawda wydatki budżetowe są na rekordowym poziomie – obecnie to 58% PKB, ale dystrybucja odchodzi od socjalistycznego modelu (np. od doprowadzania kolei tam, gdzie nie jest to opłacalne). Wcześniejsze rządy próbowały wprowadzać różne pakiety oszczędnościowe, dążyć do racjonalizacji, kasowania nierentownych połączeń kolejowych. Ludzie to obserwowali, jednocześnie widząc, że pogarsza się jakość służby zdrowia, przedszkoli czy żłobków. W dużych miastach ludzie radzą

sobie z tym lepiej, mają więcej opcji, ale na prowincji następuje jakaś pustynia – ludzie czują się zapomniani. To paradoksalne, że wydatki są największe w Europie, ale nie spływają w wystarczający sposób właśnie do społeczności prowincjonalnych, to kolejny element konfliktu – peryferie a duże miasta.

**Wspomniał Pan o różnych płaszczyznach, na których widoczne są konflikty między Macronem, czy szerzej elitami francuskimi, a prowincją. Dla mnie uderzające, choć jednocześnie symptomatyczne – także w kontekście protestów „żółtych kamizelek” – jest napięcie między, niewątpliwie potrzebną, troską o klimat (tak Macron argumentował podwyżkę akcyzy) a pauperyzacją społeczeństwa, zwłaszcza na prowincji. W reportażu w „The New York Times” o życiu na francuskiej prowincji i ekonomicznych uwarunkowaniach protestów padają słowa: „What do I put in the refrigerator with nothing left in the account and the electricity bill to pay?” „The citizens have asked for lower taxes, and they’re [Macron] saying «ecology»”.
Generalizując, można zapytać, jak ludzie mają dbać o środowisko, gdy nie mają czego włożyć do lodówki?**

Pamiętam, że jedno z najciekawszych haseł, którego używali uczestnicy protestów – świadczące o tym, że czytali książkę Macrona – brzmiało: „Ty myślisz o końcu świata, my myślimy o końcu miesiąca”. To pokazują tę przepaść, różnicę perspektywy. We Francji, która jest jednym z pionierów w konstruowaniu polityki zielonej nagle dochodzi do – jakby to powiedział Dahrendorf – unaocznienia otwartego, ludzie nie godzą się, aby robić z nich durniów.

Na prowincji Francji 70% nabytych samochodów to diesle, ludzie byli do nich zachęceni, także ekonomicznie, przez poprzednie rządy. A teraz mają za to zapłacić. Projektanci polityki ekologicznej muszą brać pod uwagę konflikt, o którym Pan wspomniał. Paryscy technokraci, którzy wprowadzają w życie politykę proekologiczną zdają się mówić, że ci ignoranci na prowincji wybierają niszczenie planety. Z kolei użytkownicy dieslów chcą po prostu przeżyć, mówiąc, że na ich plecach nie można przeprowadzać tych rozwiązań, że nie są w stanie sprostać im finansowo.

„Żółte kamizelki” wspiera zarówno Marien Le Pen, jak i Jeana-Luca Melenchona. Co więcej, cieszą się znacznym poparciem francuskiego społeczeństwa, niektóre sondaże mówią, że protesty popiera nawet 80% Francuzów. Czy ten ruch ma szansę na instytucjonalizację?

Marien Le Pen, którą – jak wynika z badań – poparłoby wielu protestujących, ostatnio powiedziała, że protesty pokazują bliskość projektów radykalnej prawicy i lewicy. Ich współpraca ma opierać się na wspólnym przeciwniku – państwie.

Protesty to dla skrajnej lewicy i skrajnej prawicy okazja do poznania się oraz do nawiązania ewentualnej współpracy. To ważny moment. To tak, jakby Marsz Niepodległości udało się zorganizować we współpracy lewicy i prawicy. Moment wspólnego działania, rozmów, kontaktów, być może nawet przyjaźni – w którymś momencie to zaowocuje.

Ale protesty to nie tylko radykałowie, to także Francuzi z zdeklasowanej klasy średniej. Gorycz, która się w nich wytworzyła, spotkania, rozmowy – w którymś momencie może powstać z tego siła polityczna. Życie nie znosi próżni – ani społecznej, ani politycznej. Na razie „żółte kamizelki” to efemeryczny twór – z 40 postulatami od lewa do prawa. Oczywiście, powstanie scentralizowanej struktury może doprowadzić do zmniejszenia się liczby uczestników tych protestów.

Na razie „żółte kamizelki” – w odróżnieniu od klasycznych ruchów społecznych – nie mają jednego lidera. Ich struktura jest horyzontalna, nie wertykalna. Mobilizują się na szeroką skalę dzięki Internetowi – być może dzięki niemu, jak Macron, stworzą swoje struktury? Ale nie przeceniałbym roli Internetu, dla mnie dużo większe znaczenia ma moment fizycznych spotkań – na agorze w postaci rond, parków i ulic; w wyodrębnionych przestrzeniach, które umacniają prawdziwe emocje i tożsamości – wiemy z kim rozmawiamy i chcemy działać.

Jakie zagrożenia wiążą się z protestami?

To, co się dzieje to punkt zwrotny – wiąże się z akceptacją przemocy oraz jej wykorzystywaniem w nacisku na aparat państwowy. Dzisiaj protesty są coraz bardziej przemocowe, ta radykalizacja będzie narastała, jeśli nie dojdzie do próby instytucjonalizacji konfliktu.

Odpowiadam za projekt Komisji Europejskiej DARE dotyczący radykalizacji skrajnie prawicowej i islamistycznej oraz polityki bezpieczeństwa badamy przypadki skumulowanej radykalizacji – tego,

jak radykalizacja islamistyczna wpływa na tę prawicową, na środowiska odchylone bardziej na prawo od Le Pen. Protesty uwydaczniają uaktywnienie się grup, dla których Le Pen jest mainstreamem – środowiska, które twierdzą, że uprawia poprawność polityczną, że nie jest już rasistowska i skrajnie nacjonalistyczna.

Francuscy badacze twierdzą, że coś pękło w wyniku zagoszczenia terroryzmu we Francji. Warto zaznaczyć, że polityka migracyjna, którą prowadzi Macron jest najbardziej restrykcyjna od kilkadziesiąt lat. Jeśli o nią chodzi, to dobrze wsłuchał się w głos rodaków – 2/3 Francuzów jest przeciwna tak dużej liczbie imigrantów, którzy docierają do ich państwa. Podobnym poparciem cieszy się polityka antyterrorystyczna – udaremnienie 20 spisków czy większych ataków. Macron wie, że musi sobie poradzić na tym obszarze, bo to główne bolączki Francuzów – bezpieczeństwo fizyczne i socjalne.

Protesty uwydaczniają uaktywnienie się grup, dla których Le Pen jest mainstreamem

Od kulminacji zamachów terrorystycznych w latach 2015-2016 ciągle giną ludzie, ten problem staje się bardzo obecny

medialnie. Wysoki poziom przemocy (na protestach zginęło już ponad 10 osób) jest oddźwiękiem zagrożeń terrorystycznych w życiu politycznym i kulturowym Francji. W listopadzie 2018 r. Macron miał być obiektem skrajnie prawicowego zamachu terrorystycznego, który został udaremniony. Wzrastający poziom przemocy, przekraczanie jej granic i jej społecznej akceptacji to bardzo ważny faktor, którego nie

można lekceważyć. Każdy weekend przynosi nowe zdarzenia – ostatnio, w wyniku protestów rzecznik rządu Benjamin Griveaux, pod naporem protestujących musiał uciekać przez ogród ministerstwa.

Prawie jak Ludwik XVI uciekający z Paryża w trakcie rewolucji.

Tak, pamiętamy jak to się wtedy skończyło. Ministrowi co prawda nic się nie stało, ale mogło dojść do rękoczynów. Może dlatego, że były tam służby specjalne, a może dlatego, że protestujący woleli niszczyć limuzyny i budynek.

Rewolucja 1968 roku miała charakter kulturowy; oczywiście, wpłynęła na politykę, ale np. studenci nie chcieli fizycznie przejąć władzy – wchodzić do opustoszałych budynków. Stawiali na agorę, dyskusję czy świętowanie. A teraz odbywa się święto destrukcji.

Ostatnio rząd wycofał się z podatku od paliw. Można odnieść wrażenie, że protesty „żółtych kamizelek” słabną – na początku stycznia w manifestacji w Paryżu brało udział zaledwie kilka tysięcy osób, choć jednocześnie aresztowano jednego z liderów „żółtych kamizelek”.

Erica Droueta. Represje zwiększają się i będą się zwiększać. Punkt zwrotny nastąpił 8 grudnia. Jednego dnia aresztowano aż 1700 osób. Aparat policyjny – w liczbie 80 tys. funkcjonariuszy – został użyty i to pomogło spacyfikować wiele protestów. Wydaje mi się, że w tym kierunku idą władze francuski – tworzą listę tych, którzy byli

najbardziej agresywni. Ta taktyka rozpraszenia i niedopuszczania do kumulacji różnych grup wydaje się być skuteczna. Wtedy właśnie dała taki efekt.

Zwiększenie represji wpłynęło na zmniejszanie się skali protestów?

Na pewno w jakimś stopniu, ale wydaje mi się, że ważniejszy faktor to koncesje, których dokonał Macron. To była dla niego bardzo trudna decyzja, podejmując ją – w jakimś stopniu – stracił wizerunek reformatora. To absolutne zaprzeczenie jego programu reform; tożsamości, której trzymał się przy głosach krytyki. „Nie obchodzi mnie, że zostanie mi 20% poparcia, zostałem wydany, aby reformować i będę to robił” – zdawał się mówić Macron. Tymczasem ten wizerunek załamuje się po decyzjach o odkładaniu kolejnych reform: ubezpieczeniowej i ustrojowej. To wielka ryna na macronizmie.

Mam wrażenie, że zarządzając kryzysem, Macron stosuje technikę mydlenie oczu i gry na czas – myśli, że uda mu się opanować problem za pomocą PR, jak to się robi w dużych firmach z pracownikami. Nie bierze pod uwagę skali i potencjału mobilizacji, jaką są protesty „żółtych kamizelek”; nowej agory, w której poruszają się protestujący. Stosuje połowiczne koncesje, aby spacyfikować bunt i później załatwić problem w kuluarach. 15 stycznia zaczęły się konsultacje, które będą trwały trzy miesiące. Trzy miesiące, żeby wczuć się w życie prowincjonalnej Francji. Start tego dialogu poprzedził bezprecedensowy list do Francuzów prezydenta Macrona (jego

poprzednicy pisali listy w kontekście wyborów), który łączy autentyczne otwarcie debaty narodowej z chęcią kontynuacji kierunku jego polityki.

Spróbujmy może wpisać te protesty w szerszy europejski kontekst. W ubiegłym roku pojawiła się książka *Ludzie przeciw demokracji* Yascha Mounka. Ostatnio zaś, w wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego”, autor mówił m.in. o tym, że ludzie wobec mechanizmów typowych dla demokracji liberalnej nie czują się podmiotem w polityce. Stwierdził, że liberalna demokracja wychyla się w kierunku swojego wynaturzenia lub jakiejś innej formy, która jest niedemokratyczna. Jednocześnie, co zdaje się korespondować z nastrojami panującymi wśród „żółtych kamizelek”, stwierdził, że „dziś patrzeć w sposób postnarodowy to anachronizm” a liberałowie nie mogą uciekać od istnienia tożsamości narodowych – powinni „udomowić nacjonalizm”.

Nie bez znaczenia dla przyszłości liberalnej demokracji, która funkcjonuje we Francji było pojawienie się osoby, w której pokładano nadzieję na poprawę sytuacji. Ten model został skonstruowany w przemyślany sposób przez de Gaulle'a – w związku z systemem wyborczym stanowi instytucjonalną tamę dla radykalizmów. System jest bardzo trwały i Macron, wbrew założeniom, że wprowadzi nową jakość w polityce, stał się jego gwarantem i obrońcą.

Główne partie zaczęły wprowadzać system prawyborów – socjaliści w 2012 r. a neo-Gaulliści w 2014 r. W 2017 roku Francuzi byli przy urnach wyborczych aż siedem razy. Paradoksalnie doprowadziło to do odrzucenia przedstawicieli tej klasy politycznej. Odrzucenie Marcona

może być kolejnym etapem, nie wiemy natomiast, jaki będzie następny krok. Czy władzę zdobędzie Le Pen, czy dojdzie paraliżu państwa? Tego nie wiemy.

Jarosław Kuisz pisał o buntach przeciwko niedemokratycznemu liberalizmowi, które omijają wszystkich pośredników – uznając ich za przedstawicieli systemu – media, związki zawodowe, stowarzyszenia, nie mówiąc już o partiach politycznych. Myślę, że wydarzenia we Francji potwierdzają ten trend. Miałem okazję rozmawiać francuskimi urzędnikami, oni – słusznie – podkreślają, że to, co się teraz dzieje jest forpocztą bardziej radykalnych zdarzeń w modelu cywilizacyjnym, o którym mówimy.

Model liberalno-niedemokratycznego systemu, który otwiera granice, stawia na wymianę siły roboczej, jak pokazują wydarzenia we Francji, ma swoje granice

Wydaje mi się, że w tej chwili podstawowym zagadnieniem są próby ratowania zastanego modelu; a także pytanie o to, skąd wynikają pewne ograniczenia jego

obrońców, ludzi będących u władzy, wywodzących się z elit, które chcą zachować ten system?

Z jednej strony potrzeba większej redystrybucji, a z drugiej strony waloru tożsamościowego – zakorzenionego w tożsamości narodowej. Wiąże się to ze sprzeciwem wobec fikcji zglobalizowanego, kosmopolitycznego świata, który często wykazuje sprzeczności i który

Macron reprezentuje. Macron miał w kampanii słynne stwierdzenie, że „widzi tylko Francuzów – wszyscy jesteście Francuzami, nie ma mniejszości etnicznych, a – tutaj ulubione słowo prezydenta – «jednocześnie» nie ma czegoś takiego, jak kultura francuska, bo ona jest zbyt różnorodna”. Macron jest reprezentantem definiowania świata w sposób uniwersalistyczny, prezentuje zglobalizowaną wizję kultury. Tymczasem ludzie, którzy popierają Le Pen, identyfikowani raczej z prawicą, myślą inaczej. Nie godzą się na to, aby ze słownika wypadały pojęcia: tożsamościowe, tradycyjne, patriotyczne czy narodowe. Obawiają się imigracji, poczucie niepewności i braku bezpieczeństwa to dla nich kluczowy problem. A te słowa funkcjonują w słowniku Marine Le Pen, która jest autentyczna i nie da się jej w jeden rok podrobić nawet wymyślając PR-ową kategorię „Europa, która chroni” – ważny jest autorytet u tych, którzy najbardziej potrzebują tej ochrony. Socjaliści i – z tego widać – Macron go nie mają. Ograniczenie fali imigracji z Afryki czy z Bliskiego wschodu przez nowe urzędu unijne ograniczają to jeden aspekt, większym wyzwaniem jest problem wewnętrznej imigracji.

Model liberalno-niedemokratycznego systemu, który otwiera granice, stawia na wymianę siły roboczej, jak pokazują wydarzenia we Francji, ma swoje granice.

Z drugiej strony, Macron, jak Pan wspomniał, również wprowadza restrykcje związane z imigracją. Może zatem wpisuje się w panujące nastroje społeczne?

To raczej część definicji macronizmu. Obok proeuropejskości, przeświadczenia o końcu starego świata, wpisuje się w nią odideologizowanie polityki, w jakimś sensie apolityczność. Macron twierdzi, że nie jest ani z lewicy, ani z prawicy – wybiera, ponad klasycznymi podziałami lewica-prawica, to, co jest skuteczne, co przyczyni się w sposób pragmatyczny do zwiększenia szans rozwojowych społeczeństwa i państwa. *En même temps* – jednocześnie jestem taki, ale i jednocześnie jestem taki. Ale to żonglowanie, jak sądzę, okaże się bezskuteczne. Macron prowadzi politykę migracyjną bardzo sztucznie – nazywa ją humanitarną i efektywną – ma jednocześnie pomóc uchodźcom i zmniejszyć migrację. Kto może się z nim utożsamiać? Prawica popiera, bardziej autentyczną, Marie Le Pen; lewica nie akceptuje tego, co robi. Nawet niektórzy z jego deputowanych, wywodzący się ze środowisk lewicowych, blokują reformę migracyjną, twierdząc, że jest zbyt restrykcyjna. Polityka migracyjna, którą prowadzi Macron, nie zyskała rezonansu, poparcia politycznego, którego się spodziewał. Jego apolityczność okazuje złudna i bezskuteczna – wygląda na to, że nie można stale uciekać od jednoznacznych wyborów ideologicznych, które jednak przypominają o podziale na lewicę i prawicę. Gdy Macron odruchowo wręcz zdecydował, aby przypodobać się prawicowym wyborcom, że Francja nie przyjmie statku *Aquarius* z uchodźcami na pokładzie – spotkał się z krytyką sympatyków lewicowych i szybko zmienił decyzję. Podobnie nie chciał stracić w oczach prawicowych wyborców, którzy w tej chwili stanowią jego bazę – i nie chciał dokonywać zbyt daleko idących koncesji na początku protestów, a uczynił to, jak wielu twierdzi, zbyt późno. Cierpi na tym nie tylko sprawczość, ale i autorytet państwa – ono go po prostu nie ma.

Kończąc, chciałbym zapytać o przełożenie protestów „żółtych kamizelek” na wyniki wyborów do Parlamentu Europejskiego. Kto straci, a kto zyska na protestach?

Na pewno zyskuje na tym Marie Le Pen, która w tej chwili ma 24% poparcia, czyli więcej niż siła proeuropejska – En Marche! z 18% poparcia. Szykuje się mocny cios dla Macrona, bardzo możliwe, że przegra te wybory. Zjednoczenie Narodowe – partia Le Pen – jest targana kryzysem przywództwa, ciężą na niej zarzuty o malwersacje finansowe. Po przegranych wyborach parlamentarnych odeszło od niej kilkadziesiąt tysięcy członków, 1/3 partyjnych lokali jest zamknięta. Nawet w takiej kondycji staje się główną siłą opozycyjną.

Doszłoby do dużej zmiany, gdyby „żółte kamizelki” stworzyły listy do wyborów. Na pewno mogliby liczyć na kilka dobrych procent. Choć ta strukturyzacja nie jest przesądzona, ciągle trwają rozmowy – na pewno Macron wspiera ich w tym zakresie, aby osłabić Mélanchona czy właśnie Le Pen.

Ale jeśli do tego nie dojdzie i Le Pen wygra wybory, to pogrzebie całą konstrukcję, którą stworzył Macron – poprzez wprowadzenie wyraźnej dychotomii, identyfikując się jako proeuropejski postępowiec przeciwstawiający się skrajnym nacjonalistom. Takie myślenie jest niebezpieczne. Rozmawiałem ostatnio z byłym doradcą Macrona, który także uważał, że – z punktu widzenia stabilności systemu politycznego we Francji – taki dualizm jest błędem. Wydaje mi się, że o wiele łatwiej byłoby prowadzić dialog społeczny na linii macronizm – uliczni ekstremiści z udziałem silnych partii opozycyjnych – republikanów,

socjalistów. Ten dualizm jest bardzo niebezpieczny także pod kątem zawierania przyszłych sojuszy, ewentualnej współpracy z partiami, które obecnie określa mianem zagrożenia dla modelu oświeceniowego. To minimalizuje jego pole manewru – pod tym względem, paradoksalnie w świetle jego deklaracji, jest bardzo ideologiczny. I kończąc kłamrą – wracamy do jego złego odczytania rzeczywistości społeczno-politycznej.

Rozmawiał Albert Mazurek.